

MONOPOŁOWE PAMIĘTNIKI

Tomasz Więsak



Tomasz Więsak

Monopolowe pamiętniki

Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2016

Tomasz Więsak

„Monopolowe pamiętniki”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o. o.
2016

Copyright © by Tomasz Więsak 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok

Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok

Zdjęcie okładki © Fotolia - norberthos

Autor zrezygnował z korekty profesjonalnej wydawnictwa; tekst zawiera fragmenty mowy potocznej

ISBN: 978-83-7900-519-2

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Nazywam się Wojciech Polakowski. Urodziłem się w Gdańsku. Tutaj spędziłem swoje dzieciństwo, ukończyłem szkołę, potem studia, by w końcu również tutaj wejść w dorosłe życie. Studiowałem chemię na Politechnice Gdańskiej. Gdy uzyskałem tytuł magistra inżyniera byłem młodym, optymistycznie patrzącym w przyszłość człowiekiem. Miałem dwadzieścia cztery lata i wydawało mi się, że cały świat stoi przede mną otworem. Zacząłem szukać pracy. Chciałem pracować w wyuczonym zawodzie. Byłem świadomy tego, że o pracę nie jest łatwo. Wiele osób, które znałem z uczelni, było bez zatrudnienia. Miałem nadzieję, że mnie to nie spotka. Ukończyłem studia z dobrymi ocenami. Byłem jednym z najlepszych studentów na roku. W nauce zawsze wyróżniałem się na tle moich rówieśników. Wierzyłem, że będzie to dla mnie przepustką do znalezienia dobrej posady. W mojej ocenie zdobycie lukratywnego stanowiska miało być dla mnie jedynie kwestią czasu. Przez pierwsze tygodnie z zapałem przeglądałem ogłoszenia o pracę. Wybierałem te biurowe. Jako absolwent uczelni wyższej widziałem swoje miejsce właśnie w biurze. Wysyłałem swoje aplikacje do wielu pracodawców, czekając, aż któryś z nich skontaktuje się ze mną i zaprosi mnie na rozmowę kwalifikacyjną. Niestety, od nikogo nie nadchodziła żadna odpowiedź,

ani pozytywna, której z niecierpliwością oczekiwałem, ani nawet negatywna. Wiedziałem, że muszę uzbroić się w cierpliwość. Tłumaczyłem sobie, że na początku nigdy nie jest łatwo. Mijały tygodnie, a ja wciąż pozostawałem bezrobotny. Sprawiało to, że zaczynałem popadać we frustrację. Po czterech miesiącach bezowocnego szukania zajęcia, kiedy to żaden z pracodawców nie odpowiedział na wysłane przeze mnie aplikacje, postanowiłem zacząć rozglądać się za jakąkolwiek pracą, niekoniecznie biurową. Mieszkałem z rodzicami, ale nie chciałem pozostawać na ich utrzymaniu. Aplikowałem na różne stanowiska, od pracowników budowlanych, ekspedientów sklepowych, aż po magazynierów. Jednakże ku mojemu zdziwieniu, przeradzającemu się w jeszcze większą frustrację, wciąż nikt nie chciał mnie zatrudnić. Owa frustracja zaczynała przeradzać się w depresję. Pytałem sam siebie, co może być ze mną nie tak, że nie mogę znaleźć chociażby najmniej płatnego, nieskomplikowanego zajęcia. Wprost nie mogłem uwierzyć, że to, co się dzieje, jest rzeczywistością. Myślałem, że to tylko zły sen, z którego niedługo się obudzę. Po siedmiu miesiącach usilnych poszukiwań i oczekiwania, które sprawiało, że powoli się załamywałem, jedynym, co udało mi się znaleźć, była posada sprzedawcy w sklepie

monopolowym na jednym z gdańskich blokowisk. Nie tak wyobrażałem sobie początek swojej kariery zawodowej, ale na tamtą chwilę nie miałem innych perspektyw. Żywiłem jedynie nadzieję, że po krótkim czasie znajdę zajęcie bardziej odpowiadające moim oczekiwaniom i ambicjom. Co prawda, przez siedem miesięcy nieudanych poszukiwań moja nadzieja mocno zmalała, ale w głębi serca wierzyłem, że słońce jeszcze dla mnie zaświeci.

Sklep, w którym pracowałem, był jednym z wielu, jakich mnóstwo w każdym polskim mieście. Nie wyróżniał się niczym szczególnym. Mieścił się w starym, wolnostojącym budynku średniej wielkości, posiadającym metalowe drzwi i zakratowane okna, dwa z przodu i jedno z tyłu. Dach pokryty był zardzewiałą blachą. Ściany od zewnątrz były podrapane. W środku mieściła się sala z drewnianą ladą, blaszanymi półkami, na których ustawiony był towar, a także zaplecze i ubikacja. W oknach zamontowane były rolety. We wszystkich pomieszczeniach podłoga wyłożona była drewnianym parkietem, który mocno trzeszczał, gdy ktoś się po nim poruszał. Pomieszczenia były słabo oświetlone. Ściany pomalowane były na biało. W niektórych miejscach odpadał tynk. W całym sklepie czuć było zapach stęchlizny, a często również odświeżacza powietrza,

używanego ze względu na klientów, którzy nie byli przesadnie higieniczni. Jeśli o nich chodzi, należy wspomnieć, że tak jak do większości innych sklepów przychodzą kupować ludzie dość różnorodni, wywodzący się z różnych grup społecznych, co uniemożliwia sklasyfikowanie ich w sposób jednoznaczny, tak w tym przypadku większość klientów miała jedną wspólną cechę. Mianowicie siedmiu na dziesięciu z nich było alkoholikami, którzy w napojach procentowych szukali ucieczki od szarej rzeczywistości i często niełatwej egzystencji, której doświadczali. Sklep monopolowy był dla nich niczym świątynia, do której udawali się każdego dnia, a spożywanie alkoholu stało się rytuałem, który codziennie odprawiali. Wielu z nich miało wielkie problemy z prawidłowym wysławianiem się w ich ojczystym języku. W miejscu tym dowiedziałem się, czym jest prawdziwa patologia i jak nisko można w życiu upaść z powodu zniewolenia spowodowanego nałogiem. Nigdy wcześniej nie zetknąłem się z czymś podobnym. Patrząc na niektóre osoby, które się tam pojawiały, zdawałem sobie sprawę, że moje życie nie jest takie złe, mimo iż dalekie od ideału.

Właścicielem sklepu był pięćdziesięciodwuletni Zdzisław Makowski. Był niski, otyły i łysy. Nie

wzbudzał powszechnej sympatii czy szacunku. Bardzo szybko dawał się poznać swoim pracownikom jako prosty, bezczelny i grubiański tyran, dla którego nie liczą się ludzie, a jedynie pieniądze. Lubił poniżać swoich podwładnych. Był zżyty ze swoimi klientami. Czasami za jego zgodą personel wydawał im towar „na krechę” lub pod zastaw. Makowski, podobnie jak ludzie, którzy u niego kupowali, również nie wylewał za kołnierz. Miał żonę i dziecko. Zdarzało się tak, że pojawiał się na sklepie, aby zabrać ze sobą znaczną ilość alkoholu, po czym znikał bez śladu na dwa lub trzy dni. Był w tym czasie „niedysponowany”, co wprawiało w zakłopotanie jego ekspedientów, ponieważ w razie jakichkolwiek problemów nie mogli liczyć na kontakt z nim.

W sklepie oprócz mnie pracowały jeszcze dwie osoby. Były to: czterdziestodwuletnia Maria oraz dwudziestoletnia Agnieszka. Maria od czasów skończenia szkoły zawodowej pracowała jako kasjerka sklepowa. Była rozwódką, samotnie wychowującą kilkunastoletnią córkę. Nie lubiła swojej pracy, ale przyzwyczaiła się do niej. Agnieszka zakończyła swoją edukację na szkole podstawowej. Rozpoczęła, co prawda, naukę w liceum, ale przestała do niego uczęszczać w drugiej klasie, po tym jak stwierdziła, że nie widzi dla siebie ani perspektyw, ani celu w dalszym

zdobywaniu wykształcenia. Wychodziła z założenia, że im szybciej zacznie pracować, tym szybciej coś osiągnie. Mieszkała z rodzicami i młodszą siostrą.

Cała nasza trójka była zatrudniona bez umowy o pracę, ponieważ Makowski nie raczył rozliczać nas w urzędzie skarbowym. Uważał, że koszty utrzymania pracowników są zbyt duże, aby miał je pokrywać z własnej kieszeni. Otwarcie przyznawał, że nie trzyma nikogo na siłę. Twierdził też, że drzwi są szeroko otwarte, jeśli komuś nie podoba się taki stan rzeczy. Mimo takiego podejścia do ludzi, nigdy nie mógł narzekać na brak chętnych do pracy w swoim sklepie. Zarobki u niego były małe. Gdybym nie mieszkał z rodziną, nie utrzymałbym się z nich. Głęboko łudziłem się, że nie zabawię w tym miejscu długo.

Tak więc nie była to praca moich marzeń, ale i tak uważałem siebie za szczęściarza, że w ogóle ją mam. Wielu z moich znajomych nie mogło znaleźć zatrudnienia nawet przez rok, a gdy w końcu udawała się im ta sztuka, nie byli wniebowzięci i nie mogli pochwalić się ciekawym zajęciem i atrakcyjnymi zarobkami.

Pewnego wrześniowego dnia, gdy miałem akurat poranną zmianę i właśnie zbliżałem się do sklepu, zauważyłem, że stoi pod nim dobrze znana mi postać.

Mimo że otwieraliśmy o szóstej, a dochodziło dopiero za dziesięć, osoba ta cierpliwie wyczekiwała pod drzwiami, trzymając ręce w kieszeniach i wesoło pogwizdując. Był to Robert Zapojski, nazywany przez wszystkich Zapoją. Miał czterdzieści trzy lata, jednak na skutek nadużywania alkoholu i złego odżywiania wyglądał na jakieś dziesięć lat więcej. Był średniego wzrostu. Miał ciemne włosy, które były wiecznie przetłuszczone i rozczochrane, oraz dużo zmarszczek na twarzy. Był bardzo chudy. Ilość zębów, jakie mu pozostały można było policzyć na palcach obydwu dłoni. Brak większości przedniego uzębienia sprawiał, że seplenił. Był bezrobotny z wyboru, podobnie jak wielu innych klientów sklepu. Nie chciał pracować. Z zawodu był spawaczem. W młodości pracował w Stoczni Gdańskiej, gdzie cieszył się opinią dobrego fachowca. Miał żonę i dwójkę dzieci, z którymi mieszkał swego czasu na Kaszubach. Prowadził stabilne życie, jednak pociąg do alkoholu sprawił, że Zapoja stoczył się na dno. Najpierw wyrzucono go z pracy za pijaństwo, później odszedł z domu, pozostawiając swoją rodzinę bez opieki i środków do życia, a następnie zaczął włóczyć się po melinach. Był to jednak dopiero początek jego drogi po równi pochyłej. Pewnego razu, uczestnicząc w libacji i znajdując się pod silnym wpływem alkoholu, rzucił się

z nożem na jednego ze swoich towarzyszy. Dźgnął go w rękę. Na całe szczęście w owym gronie znalazła się osoba, która była wystarczająco trzeźwa i rozsądna, aby zadzwonić po Pogotowie Ratunkowe. Mimo dużej ilości utraconej krwi, ofiara ataku przeżyła. W konsekwencji tego czynu Zapoja został skazany na cztery lata więzienia. Wyrok odbył. Po wyjściu na wolność nie wrócił do żony i dzieci, lecz zamieszkał ze swoją matką w Gdańsku. Nie zmienił stylu życia. Nie wrócił też do pracy. Nie płacił alimentów na dzieci. Utrzymywała go będąca na emeryturze matka. Nie była szczęśliwa z tego powodu, ale czuła się zbyt stara i słaba, aby nawrócić swojego syna na właściwą drogę. Zapoja dorabiał na swoje „drobne wydatki” zbierając złom oraz puszki, a następnie sprzedając swoje „zdobycze” na pobliskim złomowisku. Złom pochodził głównie ze śmietników oraz od znajomych osób pozbywających się niepotrzebnych rzeczy.

– Co tam nowego, Wojtuś? – zapytał z uśmiechem na ustach, gdy byłem w pobliżu.

– W porządku. A ty nie w pracy? – zażartowałem. Każdy, kto go znał, potraktowałby to pytanie jako dowcip.

– Ja już się w życiu napracowałem. Niech się tera inni wykażą – zaśmiał się.

Gdy otworzyłem sklep, weszliśmy do środka. Za pomocą przycisku, znajdującego się na ścianie przy wejściu, włączyłem oświetlenie. Składało się ono z jednej, dogorywającej i niczym nie osłoniętej żarówki, zwisającej ze środka sufitu na krótkim, obskurnym kablu. Następnie stanąłem za ladą i uruchomiłem kasę.

– Poproszę se to samo, co zawsze, o tej samej porze – powiedział, gdy byłem gotowy do obsłużenia go.

Schyliłem się pod ladę. Znajdowała się pod nią półka z tak zwanymi napojami winopodobnymi. Należały one do najczęściej kupowanych towarów, głównie z uwagi na niską cenę oraz fakt, że, tak jak określali to sami nabywcy tych produktów, dawały niezłego „kopa”.

– Chcesz Wiśnię czy Owoce Lata? – zapytałem. Wina te miały bowiem różne nazwy, choć w gruncie rzeczy wszystkie smakowały podobnie, a mianowicie siarką.

– Daj mi Wiśnię. Po Owocach se miałem wczoraj zgagę.

– Jak ty w ogóle możesz to pić? – dociekałem, stawiając na ladę butelkę z wybranym przez niego „napojem”.

– Człowiek nie kaktus, pić coś se musi – odrzekł radośnie.

– Wzięłbyś ty się za jakąś robotę.

– Ja se nie muszę pracować. Mi nic nie braknie. W pierdłu mnie do roboty nie zagonili, a se natenczas próbowali, to tera tym bardziej się nie dam.

– A twoja żona i dzieci? Nie interesuje cię, czy mają na życie?

– Im też nic nie czeba. Ma żona gdzieś tam se podobno pracuje, więc na uczymanie mają.

– A kiedy ostatnio się z nimi widziałeś?

– Już se nie pamiętam, ale w ostatni czas, jak się z nimi spotkałem, to się im nie najgorzej powodziło – odparł.

Wyczułem, że jest mu niewygodnie odpowiadać na tego rodzaju pytania.

– Dobra, muszę lecieć. Idę se po złom do znajomego. Także pamiętaj Wojtuś, grzecznie po pańsku, mieszkamy w Gdańsku – zmienił temat.

Gdy zapłacił za wino, chwycił je w rękę, po czym dodał, wychodząc:

– Nie żegnamy się, bo się jeszcze dziś zobaczymy.

Chwilę później pojawili się kolejni klienci. Byli to: Piotr Płaszewski, nazywany przez miejscowych Bokserem oraz Adam, którego nazwiska nie znałem.

Bokser liczył czterdzieści pięć lat. Nie odznaczał się wysokim wzrostem, bo zaledwie przeciętnym, jednak był człowiekiem postawnym i atletycznie zbudowanym. Miał pucułowatą twarz i lekko siwe włosy, zazwyczaj podcięte na średnią długość. W młodości trenował kulturystykę. Pseudonim, jaki mu nadano, wziął się z jego zamiłowania do bijatyk i awantur. Był osobą wesołą i przyjacielską, ale gdy spożywał zbyt dużo alkoholu, a to zdarzało mu się bardzo często, właściwie codziennie, lubił szukać kłopotów i z reguły nie miał problemów z ich znalezieniem. Był samozwańczym mistrzem walk ulicznych i rozwodnikiem. Miał dwójkę dzieci. Podobnie jak Zapoja, nie pracował. Utrzymywał się z renty socjalnej, którą przyznano mu z powodu urazu kręgosłupa. Nie utrzymywał kontaktów z byłą żoną ani dziećmi. Alimenty płacił, bo musiał. Były one egzekwowane drogą sądową, ponieważ Bokser nie chciał łożyć pieniędzy na swoje latorośle dobrowolnie. Twierdził, że nie ma pewności co do tego, czy aby na pewno jest to jego potomstwo, snując przypuszczenia, że ojcem biologicznym dwójki pociech może być ktoś inny. Mieszkał ze swoją siostrą i jej mężem, którzy byli bezdzietni.

Adam pracował jako mechanik samochodowy. Był w wieku Boksera, trochę od niego wyższy i szczuplejszy.

Miał żonę i dziecko. Prowadził ułożone życie. Nie był alkoholikiem. Lubił spotykać się ze znajomymi z osiedla przy piwie, ale rzadko się upijał. Był osobą spokojną i niekonfliktową. Z Bokserem znał się od dzieciństwa. Adam o tej porze był zazwyczaj w drodze do pracy, natomiast Bokser, jak co dzień, nie miał w planach niczego innego poza przechadzaniem się po okolicy w nadziei, że spotka kompanów od kieliszka, z którymi miło spędzi czas na wspólnym opróżnianiu butelek z alkoholem.

– Czołem, Wojtuś – powiedział wesoło Bokser.

– Witam panów – odrzekłem.

– Poprosimy dwa browary. Niech będą Rarytasy. W sumie przed robotą nie powinienem pić, ale ten chlejus mnie namawia – Adam, mówiąc to, wskazał ruchem głowy na Boksera.

– Tylko nie chlejus, tylko nie chlejus – roześmiał się Bokser. – Smakoszem żem jest, a ten mnie zara od chlejusów nazywa.

– To prawda, jesteś smakoszem. Tylko trochę za często smakujesz pewnych rzeczy – zażartowałem.

– Smakuję, bo muszę się ze wszystkim obeznać. Przecie tera tyle tego naprodukowały, że trza się znać na towarze. Muszę wiedzieć, co jest dobrej jakości – chichotał Bokser.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty
naszego wydawnictwa i życzymy miło
spędzonych chwil przy kolejnych
naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

